Emilia Gromek, 1 LO im. Mikołaja Kopernika w Krośnie, klasa 1

Pożegnanie

Dziwnie było przyjechać tu po śmierci babci Zosi. Czułam jakieś wewnętrzne napięcie, którego nie dało się w żaden sposób załagodzić. Patrzyłam przez szybę samochodu, choć i tak nic nie mogłam zobaczyć. Było ciemno, jedynym źródłem światła stały się przydrożne latarnie. Odkrywały jednak same kontury budynków i pojedynczych osób, które spacerowały w dość ciepłą jak na październik noc.

Z każdym mijanym domem uświadamiałam sobie, dlaczego tu jesteśmy. Co chwilę podrywałam się na siedzeniu, bo byłam przekonana, że to już tutaj, że teraz skręcamy w prawo i jesteśmy na miejscu.

Kiedy zaparkowaliśmy, westchnęłam głośno. Pierwszy raz w życiu zazdrościłam Bartkowi. Pojechał na wycieczkę szkolną. Nie mogłam znieść myśli, że podczas gdy ja będę się tu musiała męczyć, on z głupią miną pochodzi po górach, a potem wróci do pensjonatu i zje żurek.

Może tylko mi się wydawało, ale ramiona mamy lekko zadrżały. Przypomniałam sobie tamten sierpniowy dzień. Graliśmy z Bartkiem w piłkę, tata rozpalał grilla, mama robiła kompot ze śliwek. Nikt się z nikim nie kłócił, nikt nie miał do nikogo problemu. Nawet ja i mój brat zachowywaliśmy się w miarę normalnie. Pamiętam zachodzące słońce, sąsiadkę wieszającą pranie; słyszę radosne krzyki dzieci, jakby to zdarzyło się wczoraj.

Czułam się wtedy szczęśliwa. Miałam wszystko, czego potrzebowałam. Żyliśmy w spokoju, leniwie. Nawet przestałam narzekać na to, że rodzice mają dwutygodniowy urlop w jednym czasie. Wszystko zaczęło się układać.

Zdyszani i spoceni, przyszliśmy się napić. Przy okazji usiedliśmy na plastikowych krzesełkach zaraz przy wejściu. To ja jestem bardziej sentymentalna, ale miałam wrażenie, że Bartek też cieszy się z tej chwili. Przypominaliśmy wtedy zwykłą rodzinę. I było cudownie.

Do tego momentu, kiedy mama wybiegła z domu i przystanęła centralnie przed grillem. Tata znieruchomiał, widząc jej bladą twarz. Nie wiedziałam, co się dzieje, patrzyłam na rodziców, którzy wyglądali, jakby zaraz mieli zemdleć. I wtedy mama powiedziała:

- Umarła.

Ojciec wytrzeszczył oczy, przesunął mamę w prawo i posadził na ławeczce. Usiadł obok i zduszonym głosem zapytał:

- Kto?

Twarz mamy była porcelanowa, ciemne oczy patrzyły w jeden punkt, ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała. Nie przypominała już człowieka, raczej maskotkę albo niewyraźny obrazek. Straciła wszystkie kolory. Kąciki ust poruszały się delikatnie, jakby powstrzymywała uczucia. Udało jej się. Spojrzała suchym wzrokiem na przestraszonego tatę, który już i tak znał odpowiedź. Wszyscy ją znaliśmy.

- Moja matka.

''Ona''. To słowo słyszałam i wymawiałam częściej niż ''babcia''. I może to, co teraz powiem, będzie okrutne, ale nie czułam rozpaczy.

- Idźcie stąd – rzucił do nas ojciec.

Weszliśmy do domu i skierowaliśmy się do mojego pokoju. Cichutko zamknęliśmy drzwi i rozsiedliśmy się w dwóch przeciwnych krańcach pomieszczenia – ja na łóżku, on na dmuchanej pufie.

Nie rozmawialiśmy. Patrzyliśmy w dywan. W sam środek dywanu. Który, o ironio, kupiła mi właśnie babcia.

Żadne z nas przez dwie godziny nie odzywało się ani słowem. Od czasu do czasu napotkałam jego tępy wzrok, potem znów wracaliśmy do swoich stanów.

Około godziny 21 do pokoju weszła mama i głucho powiedziała, żebyśmy szykowali się do spania. Utkwiła spojrzenie w ścianę, miałam wrażenie, że w ogóle nas nie widzi. Podbródek nadal drżał.

Nie mieliśmy ochoty na dyskusję. Mimo że sami nie czuliśmy żalu, wiedzieliśmy, że mamie jest ciężko. Staraliśmy się jak najbardziej ułatwić jej dojście do siebie. A najlepszym sposobem było chyba zejście z drogi. Nie umieliśmy pocieszać, nie wiem właściwie, co moglibyśmy powiedzieć. Że nam przykro? Nie, to byłoby dla niej zbyt bolesne. Świadomość, że jej dzieci nie czują głębszych więzi z babcią.

A, niestety, tak było. Spotykaliśmy się tylko dwa razy w roku – na święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Próbowaliśmy stwarzać pozory, zachowując spokój i rozmawiając o bzdetach, ale każdy obecny przy stole wiedział, że sami siebie oszukujemy. Fałsz i niepewność unosiły się nad naszymi głowami. Byliśmy dla siebie obcy.

Dlaczego tak się stało, nie wiem. Nie zostałam dopuszczona do tej historii. Wiem, że wmieszane są w to mama i babcia. Babcia była pisarką, mama wybrała muzykę. Nie mam pojęcia, o co mogło chodzić, i już się tego nie dowiem.

Nie lubię ciszy. Dołuje mnie. Sprawia, że świat się wyłącza, odchodzi na dalszy plan. A świat jest potrzebny.

Siedzieliśmy w samochodzie, nie ruszając się. Wszyscy troje patrzyliśmy na pusty, ciemny dom. Może to głupie, ale do ostatniej chwili miałam nadzieję, że zobaczę tam światełko, ciepły blask lampy kuchennej. Nadal wierzyłam, że to wszystko jest jednym wielkim snem.

Ojciec pierwszy otworzył drzwi. Mama popatrzyła na niego bez wyrazu i zrobiła to samo. Ja z niechęcią odpięłam pas.

Dawno tu nie byłam. Zapomniałam, jak się oddycha wiejskim powietrzem. Obejrzałam się wokół. I nie przeszkadzała mi ciemność, nie przeszkadzał mi brak możliwości zobaczenia czegokolwiek.

Może byłam przyzwyczajona do tego, że nie widzę nic. A może wiedziałam, że wcale nie chcę widzieć.

Weszliśmy do domu. Był zimny, obcy i nieprzyjemny. Nie miał nawet swojego zapachu.

I znów ta cisza.

Po wielkich poszukiwaniach włącznika, tata zapalił światło. Mój wzrok zatrzymał się na drewnianych schodkach prowadzących na górę. Uśmiechnęłam się mimowolnie, bo przypomniało mi się, że kiedyś bardzo chciałam zjechać na tej barierce. Ot, takie tam dziecięce marzenia.

Jestem już za duża na historyjki o duchach i straszydłach, więc nie bałam się spać sama. Mimo że było to specyficzne miejsce – które kiedyś widziałam, ale które pozostawało dzikie, cudze, nie moje.

Zamknęłam oczy i zaraz je otworzyłam. Podeszłam do drzwi, które prowadziły na balkon. Tak, to też pamiętam. Kiedy dwa lata temu pierwszy raz przeczytałam "Romea i Julię", właśnie tu rozgrywała się akcja. To jedna z cech, dla których lubię czytać. Za każdym razem wyobrażamy sobie miejsce, w którym są nasi bohaterowie, i często okazuje się, że je znamy, że na myśl przychodzi nam coś, co widzieliśmy, co zwiedziliśmy.

Spojrzałam na ciemny świat za oknem, na cienie poruszających się na wietrze drzew. Pomyślałam, że niczego tak bardzo w tym momencie nie pragnę, jak być w domu.

Obudziły mnie głosy. Odgarnęłam włosy z czoła i dość mocno się nawywijałam, żeby zdjąć z szafki nocnej telefon. 8:53.

Schodząc na dół, uśmiechnęłam się. Już sobota. Jeszcze tylko jedna noc i stąd wyjedziemy. Wrócimy do naszego malutkiego domu. Będę robić wszystko. Ścierać kurze, myć naczynia. Nawet liście pograbię, choć jak patrzę na ogromnego orzecha, robi mi się słabo.

Pomyślałam, że już jutro wszystko wróci do normy. Jesteśmy tu tylko po to, żeby posprzątać.

Zobaczyłam, że salon został już oporządzony. Nie mam pojęcia, kiedy udało im się to zrobić, ale przy drzwiach wejściowych stało pięć dużych kartonów.

Skierowałam się do kuchni i zobaczyłam, że rodzice, ubrani w dresy i powyciągane koszulki, grają w karty.

Widocznie to miejsce działało źle nie tylko na mnie.

Dostał mi się strych. Było tam najwięcej szpargałów, za to w większej mierze popakowanych i gotowych do przewiezienia. Wystarczyło je tylko znieść i od czasu do czasu spróbować upchnąć do kartonu więcej, niż się mieściło, żeby nie zatonąć w tekturze.

Tak, jestem ciekawska. Może trochę za bardzo. Nie mogę jednak nic poradzić na to, że kiedy widzę zeszyt, palce mnie świerzbią, żeby go otworzyć. A znaleziony przypadkowo naszyjnik rozbudza moją wyobraźnię. Gdy spotkam człowieka, który mnie czymś zaintryguje – zachowaniem, tekstem, wyglądem – nie umiem o nim zapomnieć.

Kiedy zobaczyłam to pudełeczko, oczy dosłownie mi się zaświeciły. Leżało takie malutkie, opuszczone, zapomniane. Schowało się pomiędzy potężnymi kartonami. Chwyciłam zamszową skrzyneczkę i przykucnęłam.

Ze środka wysypała się masa zdjęć. Wszystkie były czarno-białe. Kartki delikatnie pożółkły na końcach, jakby chciały podkreślić odległość czasów, które uwieczniają.

Jedna z fotografii przedstawiała młodą kobietę z jasnymi oczami, idealnie kontrastującymi z ciemną oprawą brwi i rzęs. Włosy miała w kolorze, jak mi się zdaje, brązu. Opadały jej na ramiona, a niesforne kosmyki grzywki dostawały się do oczu.

To musi być babcia Zosia. Nigdy nie czułam takiej potrzeby i na ogół takie zachowania mnie denerwują, ale raz wpisałam jej nazwisko w wyszukiwarkę. Oprócz wiadomości o nagrodach i dziełach, ujrzałam masę zdjęć, nie tylko tych zrobionych na festiwalach, ale również prywatnych, z młodości.

Nie pamiętałam dokładnie tamtych obrazów, więc wyciągnęłam komórkę i powtórzyłam czynność sprzed lat. Poczułam dziwne deja-vu.

Nie powinnam, ale wybuchłam śmiechem. Znalazłam w sieci to samo zdjęcie.

Z jedną tylko różnicą – to, które trzymałam w ręce, zostało urwane w połowie. Widać było, że brakuje drugiej części. Widniał na niej jakiś mężczyzna. Jestem pewna. Na dodatek zobaczyłam rękaw marynarki, którego babcia się nie pozbyła. Trudno mi powiedzieć, czy go nie zauważyła, czy może był to zabieg celowy.

Nagle zaczęłam odnajdywać w pamięci te straszne nagłówki gazet: " Morderstwo? Samobójstwo? Choroba?"... Śmierć pisarki Zofii Kowalskiej była tragedią dla mamy, czasem trudnym dla ojca, mnie i Bartka oraz sensacją dla dziennikarzy. Babcia zdobyła popularność po wydaniu "Błękitu nieba". Pojawiła się wtedy na łamach programów kulturowych oraz na językach ludzi. Stała się osobą popularną, weszła w kręgi artystów. Mówiono o niej. A jeśli o kimś jest głośno, jeśli ktoś dostał się na "szczyt", jakim jest sława, nie schodzi z piedestału, dopóki nie umrze. Jest na świeczniku do końca swojego życia. Prasa chce wiedzieć o nim wszystko. Tylko szuka nowinek, ploteczek. Kocha skandale. Żywi się nimi.

A ta śmierć, na domiar złego, była niewyjaśniona. Babcię znaleziono w pobliżu Krośnieńskiego Szpitala. Wiedzieliśmy tylko tyle, że babcia udała się do tego miasta na spotkania literackie. Zapraszano ją do bibliotek, szkół, na uniwersytety.

I tego pięknego, słonecznego dnia, 17 sierpnia, kiedy moja rodzina korzystała z wolnego, obcowała ze sobą, cieszyła się wzajemnym towarzystwem, babcię znaleziono leżącą na chodniku. Nic nie można było zrobić. Już nie żyła.

Popatrzyłam jeszcze raz na starą fotografię. Nagle obudziła się we mnie ciekawość, niezachwiana pewność, że ta tajemnica przeznaczona jest dla mnie.

Serce zaczęło szybciej bić, a myśli na chwilę się wyłączyły. To ból. Żałowałam, że nie poznałam babci, kiedy mogłam to zrobić, kiedy miałam okazję. Nawet się nie starałam, odrzuciłam ją na samym początku.

Wiem, że to nic w porównaniu z tym, co mogłam zyskać, gdybym tylko ją do siebie dopuściła, ale chciałam się dowiedzieć, jaka była przyczyna jej śmierci. Czułam, że tylko to mogę teraz zrobić, tylko to mi pozostało. Rozwiązanie zagadki było jedynym wyborem, jedyną próbą zbliżenia się do niej.

To była żmudna praca. Zdecydowanie. Podchodziłam do każdego pudła po kolei i przegrzebywałam jego zawartość. Przy czwartym fuknęłam głośno i kopnęłam w ścianę. Zeszłam na dół. Bolała mnie głowa i kręgosłup, i nic mi się nie udawało. Złość wprost ze mnie kipiała. Taka jestem. Denerwuję się, gdy coś idzie nie po mojej myśli, gdy coś mi nie wychodzi, gdy czegoś nie znajduję. Namachałam się jak nigdy w życiu, a nic mi z tego nie przyszło. Na dodatek zaczęło mi dość mocno burczeć w brzuchu. Znowu poczułam doskwierający brak Bartka. Może to rzeczywiście tak jest, że nie doceniamy swojego rodzeństwa? Zresztą, nie o samo rodzeństwo chodzi. O wszystko.

- Co z tymi listami? Chyba je wyrzucimy, nie?

- Aluś, ja bym to spalił. To jakieś stary pocztówki. Jeśli chcesz to zatrzymać, proszę bardzo, ale możesz być pewna, że nie ma tam nic ważnego.

- Wrzuć je do kosza – mama podała ojcu pęk kartek. Rzuciłam się biegiem przed siebie, jakby od tego zależało moje życie.

- Nie! – krzyknęłam.

Rodzice popatrzyli na mnie zaskoczeni, po czym tata odezwał się:

- Masz, pooglądaj sobie.

- A po co ci to, Zośka? – dopytywała mama zza ściany kartonów.

Nie mogłam jej powiedzieć, że chcę się dowiedzieć prawdy. Widziałam po jej zachowaniu, że już jej lepiej, że powoli godzi się z sytuacją. Nie miałam zamiaru tego psuć. Jedynym, o czym marzyłam, było zamknięcie tej sprawy.

Wszyscy znamy twierdzenie, że czas leczy rany. Jedni się z nim zgadzają, inni definitywnie zaprzeczają, ja natomiast mam wrażenie, że potrzeba nam paru myśli o nieprzyjemnym temacie, paru nieprzespanych nocy, paru chwil, gdy nie wiemy, co zrobić. A potem rozwiązanie przyjdzie samo.

Trochę czasu minęło. Mama zaczęła normalnie funkcjonować, powoli wracając do codzienności, tata uparcie pomagał swojej żonie, Bartek miał już, delikatnie mówiąc, wywalone na to wszystko, a ja z niecierpliwością czekałam na symboliczny koniec.

I właśnie wtedy, gdy biegłam na strych z grubym plikiem kartek w ręku, pomyślałam, że tym końcem zajmę się ja. Że będę szukać, dopóki nie znajdę. Że nic mnie nie powstrzyma. Że dowiem się wszystkiego, a potem pogodzę się z tym i zacznę od nowa.

Istotnie, dużo tam było pocztówek. "Dla kochanej Zosieńki z Warszawy", "Dla najlepszej koleżanki, którą nie zapomniała przez całe lata – Ela" i inne.

Jedna z nich przyciągnęła moją uwagę. Wyglądała na nową, miała może rok, może dwa. Wygrzebałam ją między listami z urzędów. Stała się dla mnie napędem do dalszego poszukiwania. Poczułam przyjemne mrowienie w brzuchu, miałam przeczucie, że jestem coraz bliżej, że wiem coraz więcej, że ta karteluszka ze zdjęciem Pola Marsowego jest następnym ogniwem w całym tym łańcuchu.

Na drugiej stronie napisane było niebieskim długopisem, bardzo drobno i starannie, choć trochę krzywo: "Salutations à Zosia qui est toujours dans mon esprit... To te souviens quand nous ètions ici ensemble? Avant....Avant que tout cela n'arrive? Recontre moi. S'il te plait."

Pocztówka z Francji napisana po francusku. Otworzyłam usta ze zdumienia. Wpadłam w euforię. Tak, to musiało się jakoś łączyć. Pobiegłam po telefon, który leżał zakopany po stosem pudeł na drugim krańcu strychu, i przetłumaczyłam tekst – "Pozdrowienia dla Zosi, która nadal trwa w mojej świadomości...Pamiętasz, jak byliśmy tu razem? Zanim...Zanim to się stało? Spotkajmy się. Proszę."

Mało nie krzyknęłam. Czułam się jak detektyw, który jest tuż przed rozwiązaniem sprawy. Który musi postawić jeszcze tylko jeden krok i już poza wyjaśnienie.

"Byliśmy tu razem"? "Zanim to się stało"? "Spotkajmy się"?!

Z kim była babcia, kiedy, gdzie i dlaczego? Zanim co się stało? I dlaczego ma się z tym kimś spotykać? Dlaczego on ją o to prosi?

Nie miałam jeszcze potwierdzenia, że to "on", ale tak przypuszczałam. Wszystko wskazywało na to, że babcia....miała romans. Natychmiast prześledziłam pocztówkę jeszcze raz i znalazłam datę – 22 maja 2021 roku.

Jakiś Francuz wysłał babci pocztówkę, tego roku, zaledwie trzy miesiące przed jej śmiercią.

- O co w tym wszystkim chodzi? – mruknęłam do siebie. Postanowiłam zachować dowód. Zaniosłam go do pokoju, w którym spałam, i położyłam wśród rozwalonych na fotelu ubrań. Resztę – po dokładnym obejrzeniu i upewnieniu się, że nie ma w nich nic godnego uwagi – zebrałam do kupy i zaniosłam na dół, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

- Znalazłaś coś ciekawego? – zapytał tata, gdy z obojętną miną (którą tak ciężko było mi przywdziać!) rzuciłam stosik na podłogę.

- Nie, same pisma z banku.

- A czego ty się, dziecko, spodziewałaś? – zapytał, śmiejąc się i patrząc na mnie z politowaniem.

Miałam ochotę odpyskować mu, że na górze leży tajemnicza pocztówka od jakiegoś mężczyzny, z którym babcia może się spotkała. Strasznie denerwuje mnie, kiedy ludzie upierają się przy swoim zdaniu, choć nie są do końca pewni, że mają rację.

Zostawiłam jednak za sobą swoją dumę i tylko się uśmiechnęłam. Nie mogłam się tłumaczyć. Nie mam pojęcia, jak by zareagowali, najprawdopodobniej kazaliby mi przerwać moje śledztwo, które zaczęło mi się bardzo podobać.

Usiadłam na drewnianym stołeczku, który wygrzebałam zza pudeł, i wpatrywałam się w urwane zdjęcie. Może część marynarki, którą widać, należała do tej samej osoby, która przysłała pocztówkę? Podobno głupi zawsze ma szczęście. Zgadzam się. Coś mnie podkusiło, żeby odwrócić fotografię, przyjrzeć się jej z tyłu. Nie oczekiwałam niczego. Często na odwrotach takich pamiątek zapisane są daty, wydarzenia. Ludzie wspominają po latach swoje życie, nie chcą zastanawiać się nad pochodzeniem zdjęcia i okolicznościami jego zrobienia.

Obstawiałam, że skoro jest przerwane, pozbawione połowy, to nie ma za sobą nic. Może myślałam schematycznie, ale wydawało mi się, że babcia nie chciała zostawić żadnych śladów, że pozbywając się swego towarzysza, wyrzucając go z ilustracji, a jednocześnie ze swojego życia, swojego serca, wyrzuciła też wszystko, co się z nim wiąże. Przeżyłam więc niemałe zaskoczenie, gdy zobaczyłam koślawe litery. Podobno to lekarze piszą brzydko. O pisarzach lepiej nie mówić.

Centralnie na środku widniały trzy litery: Rue. Potem jakaś cyfra, chyba pięć, ale nie jestem pewna. Dalej widać było tylko kształt litery, ale została ona urwana i odeszła w niepamięć razem z postacią mężczyzny. Pod spodem pisało: ''Paris'', następnie dany był przecinek. Potem przepaść.

Sprawdziłam, że ''Rue'' oznacza "ulica". ''Paris'' to oczywiście Paryż.

Wszystko zaczęło się składać w jedną całość. Zdjęcie, pocztówka, francuski adres.

Babcię i tego mężczyznę coś łączyło. Zaczęłam się bardzo mocno zastanawiać, czy ma on jakiś związek z jej śmiercią.

To niesamowite, jak człowiek może dojść do samego początku sprawy, jeśli tylko myśli logicznie i potrafi bazować na tym, co już wie. Przyznaję, nigdy nie byłam za pan brat z matematyką, fizyką, chemią, które miałyby mi pomóc w rozwijaniu toku rozumowania.

Rozwiązanie poznałam tylko dzięki swojej ciekawości. Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Wieczorem mama wzięła się za sypialnię babci. Wiadomo, intymny pokój, pełen osoby, która go zamieszkuje. Teraz – jak wszystko w tym domu – opustoszał. Zostały jednak ślady użytkowania, ślady babci. Jest niezbitym dowodem na to, że Ona tu była, że chodziła po tym świecie i oprócz paru książek zostawiła po sobie coś jeszcze. Co? Niebawem miałam się przekonać.

Siedziałyśmy we dwie pośrodku pokoju. Otaczały nas stosy kartek, zeszytów, książek. Wszystko, co znajdowało się w komodzie babci. Aż się zdziwiłam, że ta kobieta dała rady wszystko to pomieścić w małym, drewnianym mebelku.

- Idę zobaczyć, co robi tata. Głowa mnie boli – odezwała się mama po jakiejś półgodzinie. – Jak chcesz, idź na spacer albo coś. Nie musisz cały czas sprzątać.

- Nie, posiedzę tu jeszcze trochę.

Jestem paskudnym człowiekiem, jeśli chodzi o łapanie okazji. Wywęszę ją z kilometra i zrobię wszystko, żeby tylko ją wykorzystać. Zostałam, bo mogłam bezkarnie przeszukać miejsce, które miało mi o babci powiedzieć najwięcej.

Trochę czasu spędziłam jeszcze nad papierzyskami, porzuciłam jednak to zajęcie, bo i mnie rozbolała głowa. Poza tym nie mogłam się skupić – cały czas myślałam, gdzie mogę znaleźć źródła. Gdzie mieszka prawda.

Zrobiłam dokładną selekcję biżuterii i imponujących rozmiarów kosmetyczek. Właśnie miałam przechodzić do półki z poukładanymi w kosteczkę prześcieradłami, gdy zobaczyłam album ze zdjęciami.

Odrzuciłam na chwilę sprawę. Zapomniałam o niej. Wiedziałam, że nawet gdybym znalazła jakieś zdjęcie z tym mężczyzną, i tak nic by mi ono nie powiedziało. Co mogłam stwierdzić na podstawie jego wyglądu? Całe nic.

A przyznać muszę, że fotografie mnie interesowały. Od zawsze lubiłam patrzeć na uśmiechnięte twarze przodków, które rozbudzały moją fantazję, sprawiały, że tworzyłam historie, układałam różne scenariusze jednego życia.

Zdjęłam go z najwyższej półki w szafie, żeby się odstresować, żeby odpocząć na chwilę od mojej misji.

Czy przypadki się zdarzają? Nie wiem. Raczej nie. Nie znamy całości, ale to nie znaczy, że nie jest ona zaplanowana. Choć w zasadzie nie jestem za planowaniem. Wszystko powinno dziać się pod wpływem impulsu. Może działa to na zasadzie przeciwieństwa – coś, co dla nas jest spontaniczne, dla praw natury zostało wpisane w schemat.

Wtedy zobaczyłam ten list. Wypadł spomiędzy wypełnionych zdjęciami stron. Napisany na cieniutkiej kartce papieru, emanujący dziwnym szczęściem.

Wiedziałam, że to rozwiązanie. Byłam pewna. Powinnam się cieszyć, ale....czułam strach. Miałam wrażenie, że to stało się zbyt szybko, że może jednak nie jestem gotowa na prawdę.

Wzięłam głęboki oddech. Postanowiłam, że będę odważna. Ten jeden, jedyny raz w życiu będę odważna. I przyjmę to, co zostało mi dane.

''Je ne peux pas. Je n'en peux plus. Je le sens. C'est le dernier au revoir. Laisse-moi. Oublie. Ce sera mieux. J'ai un cancer. Au revoir.''

''Nie dam rady. Już więcej nie wytrzymam. Czuję to. To ostateczne pożegnanie. Zostaw mnie. Zapomnij. Tak będzie lepiej. Mam raka. Do widzenia.''

''J'ai un cancer''. ''Mam raka''. ''J'ai un cancer.''

Zmrużyłam oczy. Nie byłam na tyle silna.

Od razu zaczęłam inaczej patrzeć na ten dom. Wszystko zdawało się krzyczeć o chorobie. Nikt o niej nie wiedział, zostałam tylko ja, zaplątana w sidła wiedzy, którą nie zawsze jesteśmy w stanie udźwignąć. Mimo wszystko, lepiej, żeby tak zostało. Ta wiadomość mną wstrząsnęła i przez chwilę nie byłam w stanie myśleć. Zaraz jednak otworzyłam wszystkie zmysły, pozwoliłam na to, żeby bodźce ze świata zewnętrznego do mnie docierały. Trzeba zakończenia, trzeba zamknięcia tej śmierci. Chciałam znać jej przebieg, nie nurtować się pytaniami, nie zastanawiać więcej nad tą tragedią. Myślałam egoistycznie, to prawda. Ale czy to takie dziwne, że miałam ochotę iść dalej? Gdzieś przeczytałam, że wszystko, co mamy, to tu i teraz. Zatem skupię się na doświadczaniu własnego życia, gdy tylko odkryję wszystkie punkty sekretu. Inaczej nie dam rady, inaczej nigdy nie ruszę do przodu.

Pozostawało tylko jedno pytanie – dlaczego znaleziono ją akurat tam? Co takiego się stało? Co spowodowało, że leżała na chodniku? Nie wiedziałam, czy to miało związek z rakiem. Fakty nie pasowały do siebie, nie kleiły się w żadną całość. Był w tym wszystkim jakiś haczyk, jakby specjalnie zagradzający wyjście. A wyjść chciałam, wyjść MUSIAŁAM. Trzeba było poznać przeszłość, żeby iść w przyszłość. Trzeba było pozamykać drzwi, które pozostawały otwarte. Wtedy można było myśleć o tym, co nadejdzie, można było pogodzić się ze stratą.

Zmęczyło mnie siedzenie na strychu lub milutkim dywaniku w sypialni, zmęczyły mnie fotografie i listy, zmęczył mnie sam zapach tego miejsca – zapach, który był mi znajomy, ale którego nie chciałam. Czasami jest tak, że zupełnie bezpodstawnie coś kojarzy nam się źle. Miałam tak samo.

Do Krosna nie było daleko. Samochodem jechało się około piętnaście minut. Wyłączyłam na chwilę myślenie i cały proces przetwarzania informacji. Nie mogłam powstrzymać samej siebie, utraciłam nad sobą kontrolę. Jednocześnie czułam się wolna, miałam nieodparte wrażenie, że jestem coraz bliżej, że stawiam coraz większe kroki.

Zapłaciłam za bilet i rozsiadłam się wygodnie w autobusie. Godzina była dość późna, 17:14, oprócz mnie i kierowcy zauważyłam tylko starszą panią z zakupami i dwie dziewczyny.

Jechałam do źródła, jechałam do wszystkich trudności, jechałam do początku, a zarazem finału problemu.

Zaśmiałam się do siebie, bo prawdopodobnie wyglądałam jak kryminalistka. Nie dość, że byłam ubrana ''na cebulkę'', owinięta grubym szalem, tak, że było mi widać tylko oczy, to jeszcze maszerowałam w tę i we w tę, co parę metrów zawracając. Wdychałam zimne powietrze, które rozbudzało wyobraźnię. Stałam pod krośnieńskim szpitalem i czekałam na objawienie, które miało nie nadejść.

Aż wreszcie – ruszyłam. Trudno mi wytłumaczyć, dlaczego nie poszłam pod Bibliotekę – gdzie miała spotkanie literackie – ani nie weszłam w osiedle, na które miałam doskonały widok – gdzie znaleziono ją nieprzytomną. Może to instynkt, może to magia, może przyciąganie. Na pewno nie przypadek.

Wojewódzki Szpital Podkarpacki w Krośnie niejako mnie przeraził. Zawsze czułam dziwny lęk przed tego typu instytucjami. Przede wszystkim miałam świadomość, jakim poświęceniem wykazują się lekarze. Nikt z nas nie lubi myśleć o cierpieniu, nikt nie chce o nim pamiętać. A szpitale są nim przepełnione, emanują tym wszystkim, od czego człowiek chce uciec. To miejsce wyzwala chorych, daje im kolejną szansę, są jednak przypadki, których nie daje się uratować. Może nie jest to normalne, ale próbuję wyobrazić sobie, ile jęków, ile krzyków, ile łez pochłonęły te białe ściany. Jestem w przedsionku, czuję charakterystyczny zapach. Widzę długie korytarze i niewyraźne postacie w białych lub niebieskich fartuchach.

Gdy podeszłam do recepcji, wszystko jakby zniknęło. Słychać było głosy, słychać rozmowy i kroki, słychać warkot urządzeń medycznych, na których widok robi mi się słabo. Wokół nie widać żadnej żywej duszy – choć mam świadomość, że jest tu pełno ludzi, choć docierają do mnie sygnały, choć panuje tu przeświadczenie, że oni wszyscy – lekarze, pielęgniarki, ratownicy medyczni, pacjenci, odwiedzający – są, po prostu są, to jednak ich nie widać.

I nagle wyłączam się, wyłączam inne zmysły. Zostaje tylko wzrok.

Podeszłam powoli do lady, zajrzałam na odpalony komputer i stosy papierzysk. Naprzeciwko mnie, tak niedaleko, dosłownie na wyciągnięcie ręki, stała wielka, biała szafa z niezliczoną ilością przegródek.

Kartoteki.

Oczy zaświeciły mi się momentalnie. Koniec. Koniec z głosem sumienia, koniec z moralnością, koniec z nietykaniem cudzych rzeczy, koniec ze strachem i obawami przed karą.

Weszłam niepostrzeżenie za ''to wielkie biurko'', jak kiedyś mówił Bartek. Było to w czasie dość dla niego uciążliwym, miał problemy z żołądkiem i często bywał u lekarza. Teraz przekroczyłam tę granicę, którą jako mały, nic nie rozumiejący dzieciak wytworzyłam sobie w głowie. Weszłam tam, mimo zagrożenia. I co? I nic. Nic mnie nie pożarło, nie umarłam od porażenia prądem.

Otworzyłam szufladkę, na której przyklejona była literka ''K''. Uśmiechnęłam się pod nosem, bo czułam się jak złodziej. Lub po prostu ktoś, kto chce poznać prawdę. Przebieram palcami w starannie poukładanych kartach zdrowia. I znajduję. Znajduję. Jest. ''Zofia Kowalska''.

Pierwszy raz tego dnia zaczęłam drżeć. Pierwszy raz OD DŁUŻSZEGO CZASU zaczęłam drżeć. W moim gardle pojawiła się gula. Wiedziałam, że to ostateczne rozwiązanie, wynik, koniec. Że oprócz tego nie ma już nic.

Czułam, jakby papier palił moje palce, jakby gorący żar przenikał do wnętrza ciała. Nie potrafiłam odejść od tego tematu, nie umiałabym odłożyć kartoteki na jej miejsce. Wiedziałam, że nie powinnam tam zaglądać, ale to przestało być ważne. Co się powinno, co się nie powinno – jakie to ma właściwie znaczenie?

Od razu rzucił mi się w oczy napis: ''Historia Choroby''. Był wyszczególniony, pisany większą i pogrubioną czcionką. Pod tym stałe informacje, których nie mam zazwyczaj ochoty czytać, ale które dzisiaj chłonę z taką gwałtownością, jakby od tego zależało moje życie: kod resortowy, numer PESEL, data urodzenia, płeć, imię, nazwisko, imię matki, imię ojca, data śmierci, miejscowość, poczta, numer domu...Zaraz, zaraz. Data śmierci.

Oni mają w kartotece datę śmierci.

Co?

Nie mogłam tego pojąć. Czy w zwykłej kartotece człowieka znajduje się data jego śmierci? Nie interesowały mnie nigdy te tematy, ale byłam pewna, że nie.

Data śmierci – 16 sierpnia 2021 roku.

Ale babcia została znaleziona 17 sierpnia. Dzień później. To wtedy umarła. Tego dnia.

To wielka różnica. Dzień. Ja nie jestem dokładna, jednak osoby, które pracują w ''papierologii'', muszą być. Na pewno nie jest to pomyłka. Na pewno.

Szukam dalej. Mnóstwo tam zaświadczeń o przebytych bilansach i szczepionkach. Mnóstwo pomniejszych chorób. Dowiedziałam się na przykład, że babcia miała anginę w 1986 roku.

I w końcu pojawia się to. Ten klucz. Klucz do sprawy, klucz do życia babci, ale też do życia mojego i Bartka, i mamy, i taty.

Wzięłam głęboki oddech, słyszałam, jak coś świszczy w moim przewodzie oddechowym. Patrzyłam na czarne, drukowane litery, na wyrazy, na pusty zbiór zdań i terminów, których nie rozumiałam.

Eutanazja.

Miała raka, nie dało się go wyleczyć. Nie mieści mi się to w głowie, nie potrafię pojąć tego, co właśnie zostało mi objawione. Eutanazja. Nie sam rak. Eutanazja.

16 sierpnia o godzinie 23:07, gdy ja spałam przekręcona na lewy bok i śnił mi się ukochany rower, jej zostały wstrzyknięte trucizny. Nie umiem odczytać ich nazw, wszystko skleja mi się ze sobą i jedyne, czego w tym momencie chcę, to uciec.

Puścić się biegiem i zostawiać świat za sobą, odczuwać go, ale mieć jednoczesną przy tym świadomość, że on mnie nie dotyczy, a ja nie dotyczę jego. Że jestem wolna i nikt niczego ode mnie nie oczekuje.

Amanityna.

Ta substancja weszła do jej ciała, niszcząc je, tłamsząc, zamykając. Odprawiła ją na tamten świat.

Dlaczego znaleziono ją na chodniku? To musiałam sobie dopowiedzieć. I tak znałam odpowiedź. Wyszła ze szpitala, bo chciała umrzeć po swojemu. Nie byłam z nią głęboko związana, bardzo mało o niej wiedziałam, trudne miałyśmy relacje, ale...ale tego byłam pewna. Pamiętam, że kiedy byłam mała, oglądałyśmy film. Teraz nie umiem sobie tego dokładnie przypomnieć, migają mi przed oczami tylko krótkie, urywane momenty, zupełnie nie sklejające się do kupy. Wciąż jednak widzę ten telewizor, rudą aktorkę z pięknymi, długimi włosami, i jezioro, w którym tonie, chowając się przed pościgiem króla. Wybrała swoją śmierć, sama o niej zadecydowała. A babcia, po dłuższej chwili milczenia – która wcale nie była zjawiskiem dziwnym, bo nie była gadatliwa – mruknęła pod nosem, takim jednak tonem, żebym słyszała: To zawsze jest zaskoczeniem. Podziwiam ludzi, którzy umieją sobie z tym radzić.

Miałam pięć lub sześć lat. Nie rozumiałam jej. Wróciłam raczej do zabawy lalką, której domek rozłożyłam na stoliku.

Teraz też jej nie rozumiem.

Znów biorę głęboki oddech, chowam wszystkie dokumenty do odpowiedniej przegrody w szufladce, i wolnym krokiem odchodzę. Wlekę się niemożliwie, stawiam krok za kroczkiem, mam wrażenie, że świat stoi, że się zatrzymał. W uszach mi dzwoni, nie przyjmuję do świadomości żadnych dźwięków. Jest mi źle. Bardzo źle. Trzymam się prosto, jak nigdy dotąd, głowę mam dumnie podniesioną, szczękę zaciśniętą. Jedyne, co może mnie zdradzać, to ten niezidentyfikowany błysk w oczach, który wyraża tyle, że aż nie da się tego opisać.